

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: W chaosie mniejszości. — *Roman Dyboski*: Wybory angielskie. — *Ernest Luniński*: Karność narodowa. — *Prof. Leopold Caro*: Poglądy gospodarcze i społeczne Rathenau. — *Reflektor*: Na marginesie. — Listy poufne cara Aleksandra II i W. ks, Konstantego. — *Z życia młodzieży*. — *Jerzy Kurnatowski*: List do Redakcji. — *Tadeusz Zieliński*: Pieczęć Persefony (odcinek).

W CHAOSIE MNIEJSZOŚCI.

Szczęśliwa Anglja nie potrzebuje łamać głowy nad pytaniem, jak tworzyć w parlamencie większość: otrzymała ją z urn wyborczych gotową, jednolitą, pokązną i wyraźną, to też i sytuacja polityczna jest zupełnie wyraźna. My mamy jedne tylko mniejszości i jest prawdziwą, łamiącą główką zadanie wykombinować większość z tych mniejszości narodowych i nienarodowych.

Kiedy się mówi „mniejszości narodowe“, to się ma na myśli te, które weszły do bloku i głosowały na 16-kę, ale — zapomina się, że jest inna jeszcze „mniejszość narodowa“, a mianowicie „obóz narodowy“, który miał pretensje reprezentować większość narodu polskiego, a okazał się po wyborach w mniejszości. Według ścisłych obliczeń obóz ten otrzymał 29,1%, to jest mniej niż 1/3, głosów oddanych na wyborach do Sejmu. Ponieważ obóz ten twierdzi, że do niego należą wszyscy prawdziwi polacy, a pozanim są tylko żydzi, Niemcy, hajdamaki, pachotki żydowskie i niemieckie i inne podejrzanе żywioty, nie przyznające się do polskości lub nie mające prawa do niej, to wychodziło by stąd, że prawdziwi polacy stanowią w Polsce „mniejszość narodową“.

Okazuje się, że gdyby ta „mniejszość narodowa“ przystąpiła by do bloku mniejszości, który uzyskał 16% głosów oddanych, to i wówczas nawet „mniejszości“ nie miały by większości głosów w kraju, chociaż miały by wyraźną większość posłów w Sejmie.

Oczywiście o tem, aby polska „mniejszość narodowa“ zblokowała się w sejmie z niepolskimi mniejszościami, niema mowy i nie mamy powodu tem się martwić. Ale smutniejsze to, że walka partyjna wyrzyła przepaść pomiędzy wspomnianą mniejszością polską, a polską większością, reprezentowaną przez partje włościańskie i robotnicze, które razem wzięte aczkolwiek posiadają nieznaczną większość mandatów w Sejmie w porównaniu z „obożem narodowym“, ale uzy-

skwały znaczną większość polskich głosów, bo 40%, to jest o 10% więcej, niż obóz narodowy. A więc gdyby nie mniejszości niepolskie, to obóz robotniczo-włościański reprezentował by absolutną większość w kraju, co było by naturalnem zjawiskiem wobec przewagi ludności wiejskiej. Miał by ten obóz większość, nie bacząc na to, że ogromna część ludności wiejskiej oddawała głosy swoje nie na partje włościańskie. Ludność wiejska w Polsce według ostatniego spisu ludności stanowi 75%, a zatem biorąc rzecz teoretycznie, stronnictwa włościańskie mogły by mieć jakie 70% głosujących. Tymczasem widzimy, że tylko 33% oddały głosy na partje włościańskie. Znaczna część głosów włościańskich zwłaszcza kobiecych pod wpływem agitacji księży padła na 8-kę, częścią niewielką głosowała na partje robotnicze, dzięki czemu te partje uzyskały 17%, których nie miały by bez poparcia inteligencji w miastach i małych i małych lub bezrolnych po wsiach.

Na uszczuplenie liczby głosów, poddanych na partje włościańskie wpłynęło oczywiście i zaciekle wzajemne zwalczanie się „Piasta“ i „Wyzwolenie“.

Brak uświadomienia politycznego w szerszych warstwach włościanstwa, sprzeżność interesów gospodarczych pomiędzy poszczególnymi kategorjami tego włościanstwa, chaos panujący jeszcze w naszych warunkach agrarnych, brak ideologii w partjach reprezentujących „Polskę ludową“ i domagogja partyjna złożyły się na to, że najliczniejsza warstwa narodu polskiego nie wysunęła jeszcze partji, która miała by za sobą rzeczywistą większość narodową.

Nie dawno w „Klubie wymiany polskiej myśli państwowej“ po interesującym referacie pani Izzy Moszczeńskiej o „wynikach wyborów“ wywiązała się dyskusja na temat, czemu przewaliły się na wyborach stronnictwa centrowe i czy możliwe jest w Polsce prawdziwe i silne centrum. Wskazywano na włościanstwo, jak na podłoże społeczne stronnictwa istotnie centrowego, i stwierdzano, że „Piast“ jest już obecnie więcej centrowym, niż lewicowym stronnictwem.

Otóż potencjalnie włościanstwo w Polsce jest bazą społeczną przyszłego prawdziwego centrum Polskiego, podstawą większości parlamentarnej. Ale wszystko to jeszcze „muzyka przyszłości”. Dziś stronnictwo włościańskie „Piast” mało nadaje się do roli partji centrowej, nie tylko przez wzgląd na demagogję przywódców tego stronnictwa, ale i dla głębszej przyczyny: jeszcze wobec niezakończenia reformy rolnej nie ustatkował się żywioł włościański, wieś jest jeszcze w stanie fermentu, chłop w procesie zdobywania ziemi. Dopiero wówczas, gdy się ten proces zakończy, gdy włościanstwo polskie będzie tylko broniło swego stanu posiadania, będzie ona, podstawą trwałą dla centrum, a centrum to będzie skupiało większość w przyszłym sejmie polskim.

Dziś pozostajemy jeszcze wobec chaosu mniejszości.

Sytuacja ta każe bardzo pesymistycznie oceniać Sejm, wybrany 5-go Listopada, a rozpoczynający swój żywot 28-go.

Dają się słyszeć głosy, że sejm ten pozbawiony większości, której tak pragnęliśmy, okaże się jeszcze bardziej nieudolnym, niż jego poprzednik Sejm Suwerenny. Sejm ten powiadają, nie potrwa długo, nie pozostanie nic, jak go rozwiązać i przeprowadzić nowe wybory.

Alż, jak słusznie powiedziała p. Moszczeńska we wspomnianej już dyskusji w „Klubie wymiany myśli państwowej”, nie mamy żadnej gwarancji, że nowe wybory wypadną lepiej i dadzą większość trwałą w Sejmie, a mamy za to pewność, że jeżeli co rok będzie się powtarzała agitacja wyborcza, jakiej dziś byliśmy świadkami, społeczeństwo polskie ostatecznie ogłupieje pod jej wpływem.

Niech więc pozostaje taki sejm, jaki jest, a jest takim, jakim jest społeczeństwo. I nie ma innej rady, jak w chaosie mniejszości szukać żywiołów ładu, z których choć chwilowo można większość niezbędną wytworzyć.

WYBORY ANGIELSKIE.

„Wstąpiliśmy w piąty rok pokoju. Rzecznicy odrazu mówili, że to będzie sprawa przewlekła”.

W tym melancholijnym dowcipie swego kalendarza na rok 1923 klasyczny *Punch* jakby streszczał myśli tych tysięcy ludzi, co niedawno, w rocznicę zawieszenia broni, zgromadzeni w uroczystym „dwuminutowym milczeniu” koło pomnika poległych na Whitehall, mogli rozmyślać o tem, jak mało stałych i cennych zdobyczyły wszystkie ofiary wojny, i jak niedźny i niespokojny jest ten spokój europejski po niej.

Nad całemi późniejszymi latami wojny górowała była w Anglii potężna osobistość Lloyd-George'a, i ona nie przestała górować nad polityką angielską w pierwszych latach pokoju. Nadludzkiemi wysiłkami genialnej zaiste zręczności politycznej udało mu się przez cztery lata po wojnie utrzymać przy życiu tę angielską *Union sacrée* wojenną, jaką była koalicja konserwatystów z liberałami. Cudem jakimś, rząd,

co nie miał i nie mógł mieć programu, ani nie miał jednego zwartego stronnictwa w parlamencie za sobą, tylko luźną *Entente* międzypartyjną, jednak rządził i rządził.

Ale rządził właściwie Lloyd-George: on to był tym cudem. Cóż więc dziwnego, że i przeciw niemu najgwałtowniej wyładowało się niezadowolone z ekonomicznych następstw wojny, szczególnie z bezrobocia, któremu — śmiało rzecz można — żaden inny rząd nie byłby umiał zapobiec.

Bunt zaczął się od liberałów. Oni zawsze więcej mieli „zasad” w polityce niż konserwatyści — więcej przynajmniej o nich deklamowali — oni też pierwsi teraz poczęli nawoływać do powrotu do „zasad”, czyli do dawnego klasycznego dwupartyjnego ugrupowania w parlamencie. W rzeczywistości było w tem i coś z osobistej chęci zemsty ze strony starych liberalnych ministrów jak Asquith i lord Grey, których ich kolega Lloyd-George tak bezceremonjalnie był „utrącił” po pierwszym roku wojny, nieudolnie przez ich rząd prowadzonej.

Pod ogniem starych liberałów Lloyd-George — on, niegdyś radykał znienawidzony przez konserwatystów — coraz wyłączenie na konserwatystach właśnie opierać się musiał. Oni tylko w całości pozostawali pod jego sztandarem, gdy liberali rozbili się na dwie grupy: koalicyjnych rządowców czyli „narodowych” — i opozycjonistów czyli (ze szkocka tak nazwanych) *Wee Frees* (grupę „małą, ale wolną”).

Jednak i jedność konserwatystów nie przetrwała coraz ostrzejszych prób. Posypały się napaści, gdy Anglja stanęła wobec widma wojny z Turcją i zerwania z Francją. Znowuż można zauważyć, że żaden inny rząd nie byłby prawdopodobnie mógł tego niebezpieczeństwa uniknąć: żywotne konieczności obu narodów, angielskiego i francuskiego, kategoriycznie dyktowały (i dyktują!) odmienne stanowisko w sprawie tureckiej. Ale zniecierpliwiony naród, po świeżem fiasku w Genui, widział tu już tylko osobistą politykę Lloyd-George'a. Ciosy padały ze stron niespodziewanych: *et tu Brute?* mógł powiedzieć Lloyd-George, gdy zwrócił się przeciw niemu najwierniejszy dawniej poplecznik Garvin w niedzielnej gazecie *Observer*.

W kampanji tej rozlegały się ciągle zarzuty. Dziwnie dobrze znane uszom naszym z innego kraju: „ryzykanctwo”, „improwizacje w polityce zagranicznej”, „szukanie awantur wojennych”, „dąży do autokracji”, „rządzi bez gabinetu”, „robi swoją politykę zagraniczną”, „lewica uliczki *Downing Street*” (t. j. Ministerstwo Spraw Zagranicznych) „nie wie, co czyni prawica” (t. j. dom N 10, kancelarja premjera). A nawet to jeszcze: „17 lat był ministrem, a 6 premierem — czas mu wypocząć”, „jest zdernerwowany, niepoczytalny” i t. d., jak to już umiemy na pamięć.

Wreszcie zrobił się ruch i wśród konserwatystów. Ich przywódca Bonar Law, który już od dłuższego czasu usunął się był z ministerstwa, uznał chwilę za dojrzałą dla zdobycia władzy przez samych konserwatystów drogą zamachu stanu, i dokonał tego zamachu... Nie przerażajcie się czytelnicy: to nie Włochy! Bo-

nar Law napisał tylko list do *Times*, którego wydrukowanie rozpętało przesilenie. Zebranie członków partji konserwatywnej w jej klubie (*Carlton*)—zebranie, „nota bene“, urządzone tak, że nie brała w nim udziału najstateczniejsza część konserwatystów, tj. lordowie—mimo wysiłków Austina Chamberlaina i Balfoura nad uratowaniem rządu, do którego sami należeli, skończyło się rozłamek; Lloyd-George upadł, Bonar Law został premierem, i według tradycji konstytucyjnej angielskiej musiał udać się po votum zaufania do narodu, rozpisując nowe wybory.

Uczucie ulgi było powszechne, nietylko na kontynencie europejskim, gdzie Lloyd-George'a dość powszechnie nie lubiano, ale także w samej Anglii. „Dość mamy rządów wielkich ludzi“, powiedział do mnie pewien uczyony angielski. Kraj pragnął spokoju, choćby jałowego i banalnego, po eksperymentach walijskiego czarodzieja. Banalności miał dość w zapasie nowy premier konserwatywny, który zgoła nie jest orłem. Przesadził w niej nawet. Jakiegoś programu przecież i po nim trzeba było się spodziewać: *Times* wyraźnie i nerwowo upominało się o takowy. Tymczasem jego program—to biała karta, na której wypisane wielkimi literami jedno tylko słowo „oszczędność“. Trzeźwe, iście szkockie hasło (Bonar Law jest Szkotem, a Anglicy Szkotów nazywają „dusigroszami“). Przytem nie nowe: wszak już i Lloyd-George użył „siekiery“ Sir Eryka Geddes do drastycznych amputacji w budżecie. Ale bo też Bonar Law nie ma najmniejszej ambicji być oryginalnym. Nawet to jedno nowe, czysto negatywne hasło zerwania koalicji, pod którem rozpoczął, sam osłabił potem: mówi o możliwości jakiejś „kooperacji“ w nowej Izbie (różnica tylko w słowach). Pozatem zaś tak wytrwale nic decydującego wogóle nie mówił, a raczej tak wytrwale wkółko powtarzał słowo „spokój“, że Lloyd George w lot ukuł określenie, iż nowy gabinet jest „chory na śpiączkę“.

Wogóle niepospolity dowcip i ogień Lloyd-George'a i wszystkie inne jego talenty jako mówcy wiecowego zajaśniały w tej kampanji w całym blasku. Mimo to odrazu było widać, że widoki na jego powrót do rządu są słabe, choć ma jeszcze koło siebie część liberałów i część konserwatystów. Wynikło z tego tylko zamieszanie wprost niebywałe w dziejach parlamentarnych Anglii. W niektórych okręgach występowało po dwóch kandydatów konserwatywnych (kandydat obozu Lloyd George'a i obozu Bonar Lawa), i tak samo po dwóch liberałów (koalicyjny i „wolny“), a jako piąty,—kandydat partji robotniczej.

Zdawało się, że właśnie ta partja będzie w tem rozbięciu konserwatystów i liberałów *tertius gaudens*—a raczej w tym wypadku *quintus gaudens!*

Jej samej się tak zdawało: bo czyż nie rosła stale liczba jej przedstawicielstwa przy wszystkich kolejnych wyborach od r. 1906 do 1918?

To też wystąpiła partja robotnicza z niebywałym aplombem. Wystawiła około 400 kandydatów (na 600 z czemś mandatów poselskich).

Wśród nich sporo inteligentów (np. powieściopisarz Wells). Zamarzyła partja (na głos) o „Rządzie robotniczym“ i dała próbkę tego, czego się po nim spodziewać można, wysuwając hasło—tak dobrze nam znane!—*daniny państwowej*, czyli konfiskaty części kapitałów przemysłowych i innych dla jednorazowego zmniejszenia olbrzymiego po wojnie długu państwowego i ciężaru podatkowego.

Tu jednak się okazało, że partja robotnicza przesadziła w oryginalności, jak Bonar Law w banalności. Danina państwowa naraziłaby na szwank cały z trudem wznoszony gmach oszczędnościowej powojennej gospodarki skarbowej angielskiej. Posypały się listy do gazet, dowodzące jasno, że danina, podrywając przemysł, spotęgowałaby tylko to, na co klasa robotnicza angielska obecnie najwięcej cierpi, t. j. brak pracy. Głosy te widocznie robiły swoje u mas, skoro sami przywódcy partji robotniczej zaczęli się chwiać i prawie że cofnęli hasło daniny. W ostatniej chwili dopiero, nie mogąc się już zrećźnie wycofać, hasło to na nowo podjęli, zacinając się w jakimś desperackim uporze. Desperackim—bo tymczasem przyszły wybory gminne i przyniosły socjalistom, rozgospodarowanym od lat w zarządzie różnych wielkich miast (także Londynu)—porażkę. Zapowiedź wyrazna, że w każdym razie nadmiernie wielkiego przyrostu mandatów robotniczych w nowym parlamencie niema się czego spodziewać—czy obawiać, jak kto chce.

Z drugiej strony konserwatyści, choć „chorzy na śpiączkę“, nie próżnowali. Najstarsza i najstarsza w Anglii armja wyborcza po rozłamie na początku kampanji z zadziwiającą szybkością i wprawą taktyczną znowu zwarła swe szeregi.

Tak więc wybory dnia 15 listopada odbywały się pod potrójnymi auspicjami: zwartości konserwatystów, rozbięcia liberałów i taktyczne-go błędu robotników.

Odpowiednie do tego są ich wyniki.

Na 605 posłów*) jest zjednoczonych konserwatystów 341, mają zatem zdecydowaną większość nad wszystkimi innymi grupami w Izbie razem wziętymi, i dalsze rządy Bonar Lawa są zapewnione.

Liberałów starych jest 60, „narodowych“ 52. Do najmniejszej liczebnie grupy w Izbie więc zinalała gwardja pretorjańska niedawnego samowładcy Anglii, co pierwszy z premierów angielskich stworzył sobie „biuro prezydjalne“ (czyli „Sekretarjat“) i urządził się na Downing Street jakby na stałe. Nowej ery nowego Gladstone'a nie będzie.

*) Dawniej 670. Obecnie odpadło przedstawicielstwo irlandzkie wobec powstania Wolnego Państwa Irlandzkiego? W chwili, gdy to piszę, 10 rezultatów z oddalonych okręgów wyborczych (wyspy Orkneyskie i Shetlandzkie na północy) jeszcze niema; ale nie zmienia one obrazu w jego rysach istotnych. Ogólna liczba posłów w nowej Izbie Gmin będzie 615. Jako zdeklarowany „komunista“ zasiada w nowym parlamencie tylko jeden poseł.

Cyfry tego artykułu są wzięte z *Times* z 17 listopada 1922; inne gazety podają liczby w drobnych szczegółach nieco odmienne, z powodu uwzględnienia różnych małych frakcji w rozmaity sposób, lub zaliczenia ich zrazem do wielkich grup.

Robotnicy ze swych 400 kandydatów przeprowadzili 141. Jest to sporo: blisko dwa razy tylu, co przeprowadzili w poprzednim parlamencie; ale daleko mniej, niż sobieroił jeszcze miesiąc temu. Ponoś i brakło im funduszków agitacyjnych. Związki zawodowe — sławne *Trade-Unions* — nie mają dziś tak pełnych kas, jak za swych najlepszych czasów. Winne temu częścią długotrwałe strajki, częścią rozrzutność i nieoszczędność robotnika w czasie wojny, gdy rzeczywiście bajecznie wiele zarabiał, a częścią wreszcie i niepopularność związków u radykalnie bolszewickiej lewicy robotniczej. Tak-to samo rozpowszechnienie radykalizmu osłabiło jego główne dotychczas narzędzie konstytucyjnej walki politycznej.

W końcu jedna jeszcze uwaga. Po raz drugi w historii angielskiej (pierwszy raz w roku 1918) zastępy wyborców były powiększone o miliony *kobiet*. W rezultacie, nietylko że niema oczywiście osobnej feministycznej grupy w parlamencie, ba, są w nim wogóle tylko dwie kobiety, — ale, co najważniejsza, sympatje i antypatje, motywy i argumenty polityczne kobiet — zarówno wyborczyń jak kandydatek — były w całej walce wyborczej te same, i w tej samej proporcji reprezentowane, co wśród mężczyzn. Nie można mówić o szczególnym wpływie kobiet na zyski lub straty tego czy owego stronnictwa przy obecnych wyborach, i nie było też z niczyjej strony osobliwych apelów do specyficznie kobiecej psychiki i specyficznie kobiecych interesów, choć n. p. sam Bonar Law pierwszą swoją wielką mowę polityczną w czasie kampanji wygłosił na wiecu kobiecym. Lepszego dowodu chyba nie trzeba, że równouprawnienie obywatelskie kobiet angielskich nie przyszło bynajmniej zawczasie.

* * *

Dlaczego rezultat nowych wyborów angielskich winien nas Polaków interesować i czego się po nim możemy spodziewać?

Mógłby ktoś śmiało powiedzieć, że nicze-

go, bo znaną przecież jest żelazna stałość, konsekwencja i solidarność angielska w polityce zagranicznej.

Ale trzeba patrzeć na rzecz inaczej.

Zwyciężył zdrowy rozsądek i realizm — stary *common sense* angielski — nad utudami bolszewizującymi z jednej strony, nad kokieteryą Lloyd-George'a z Niemcami i Sowdepją z drugiej.

Jednym z kardynalnych punktów programu tego „zdrowego rozsądku“ musi być utrzymanie przymierza z Francją, choćby kosztem ustępstw, jako rękojmi pokoju europejskiego. W tym duchu pracuje lord Curzon już od początku przesilenia tureckiego i ma pełne uznanie ogółu.

Teraz więc dopiero możemy z prawdziwą ulgą uznać upadek Lloyd-George'a za fakt w sferze stosunków międzynarodowych bezwarunkowo dla nas dodatni, i możemy w szczególności spodziewać się, że o ile się sami nie zdyskretujemy, nie będzie w nowej erze w Anglii tych objawów niechęci do Polski, któremi tak przykro w pamięci narodu polskiego zapisały się rządy genialnego niewąpliwie taktyka Lloyd-George'a.

Roman Dyboski.

Londyn, 17 listopada 1922.

Karność narodowa.

Za zbiorowisko klótników uważają Polaków obcy i często swoi, za społeczność o rozbieżnych ruchach, nie umiejących skupić się w ognisku wspólnej soczewki, aby wytworzyć całość porządnie zestrojoną. Istotnie, rozważając powierzchownie dzieje, doszłoby się do przekonania, że trudno o przekształcenie treści i formy naszego istnienia bez zasadniczego przetworzenia i przetrzesowania duszy narodowej, bez wyprowadzenia jej z czyścica potępiącego, wybujałego indywidyalizmu, przekory, wzajemnej nienawiści, popędliwości i niedowarzonych sądów i niefrasobliwości o losy spoidła,

PIECZĘĆ PERSEFONY.

KLECHDA ATTYCKA.

IV.

Wrzawa dzikiego życia na Pangeju przebrzmiała wraz z jutrzenką; gdy słońce się podniosło, promienie jego smutny oświeciły obraz.

Pod urwiskiem na zielonej polanie leżała młodziutka bachantka, nebryda okrywała jej ciało, głowa jej spoczywała na tympanie; trochę dalej leżał jej tyrs. Jej sposób leżenia nie był takim, jaki przybierają ludzie naturalnie, zasypiając; widocznem było, że upadła i leżała tak, jak upadła.

Na dębie, który chwiał nad nią swą stuletnią koroną, siedział sęp i sowa; oba ze współczuciem i niepokojem patrzyły na nią i na ptaszynę słowika, która przywarła do jej białych ust. Wokoło tłuło się z żalonym piskiem stado innych ptaków — dużych i małych.

— Czy żywa?

— Myślę, że tak, Niktymeno, lecz dusza jej jeszcze się nie skupiła w jej piersi. Straszny to był

upadek, lecz widać święta nebryda błogosławionego boga ją uratowała. Lecz jak się to stało? Byłaś przecież przy tem.

— Byłam i mogę opowiedzieć! Lecz naprzód chciałam wiedzieć, jakim sposobem ona — taka jeszcze dziewczynka, dostała się do korowodu menad.

— Nietrudno się tego dowiedzieć!

Zawsze ją otaczają nasi, jednego przy sobie zatrzyma, innego zwolni, a na jego miejsce weźmie inną. Już ona nas tak kocha, jak i my ją.

— Ptaki, kto z was był przy córce wiosny podczas ostatnich dni przed tryeterydą.

— Ja — odrzekła synogarlica.

— Opowiedz nam, jak dostała się ona do korowodu.

— Było to na życzenie Aglaodora, a wszak królewna wszystkie jego życzenia traktuje jak prawo. Nieodzownem jest, — powiedział on, już teraz polecić ją łasce Diozynosa, aby mu i w przyszłości służyła gorliwie. I oto przybrali dziewczynkę. W nebrydzie, w wianku błuszczowym, z twarzyczką, pałającą ze wzruszenia — była tak

zwanego państwowością. Historyczna szkoła krakowska, Szujscy, Bobrzyńscy, przejąwszy częściowo wątek myśli autora „Dumań Polaka“, Walewskiego, wydali wyrok niemiłosiwy, choć do pewnego stopnia słuszny: przyszło nam pokutować za nieposzanowanie i osłabienie władzy monarszej, gdy ona na zachodzie i wschodzie tężała, krzepła i żłobiła sobie drogę do despotcji, za rozluźnienie kompetencji sejmu i przerzucenie jej na sejmiki, za rozmaite *liberum veto* i moralne uprawnocnienie *liberum conspiro*, za rzekomą złotą wolność, na której prognozy czyła niewola, wiodąc pod ramię okropności, nieszczęścia i nieład wewnętrzny. Tak, niewola... Bo udane i pozorne gmino a raczej szlachectwowladztwo, puszczając coraz silniej pędy od Kazimierza Jagiełłowicza, przedzierzgnęło się w rządy oligarchji bezlitośnej, frymarczącej dobrem Rzeczypospolitej, aż ją stoczono na dno przepaści. W pożarach, roznieconych dłonią magnacką, giną kozackie plany Władysława IV, z nich wstaje łuna krwawa Chmielnicyzny i zmarnowane zabiegi Jana III, one na oścież otworzą wierzeje wojnie domowej w czasie Sasa i konającą państwowość obleją złowróżbnym blaskiem. One powiodą od rokосу Zebrzydowskiego, od Guzowa do buntu Lubomirskiego i zbrojnych walk Falstaffa rozbiorowej tragedji, Karola Radziwiłła, przeciw wyborowi „syna ekonomskiego“ na tron Batorych, one wreszcie wyrwą ze zgorzkniałych ust Sobieskiego w uwagę o jednym z swoich wrogów: niech król Jan zostanie żydem, to on chrześcijaninem!... Gmin szlachecki był piłką w rękach wielmożów, był płatnym tłumem biorącym grosze lub spożywającym chleb *male merentium*, grzeszył po uszy w niewoli panków, reklamując gwoli bladej i nic nie znaczącej teorii swoje świętobliwość i przywileje. Dla niego był to płaszcz zblakły hidalg, pod którym kryła się nicość i niemoc.

Jeżeli zatem dziś mówi się, że nowe klasy w nowej Polsce, szczególnie chłopstwo, odziedziczyły stare spaczenia i anarchję tłumy szlacheckiego, nie odziedziczyły jednakże pewnej kultury, tradycji i spadku zasług po dziadach, to w tem dowodzeniu tkwi pewne nieporozumienie. Nie ogół *nobiles*, owych braci i familjantów herbowych, jako

taki, przyczynił się do upadku kraju, tylko jego najwyższe ucieleśnienie moralne i materialne te Szajnochowskie królewęta, wygrywające zręcznie na klawiszach szaraczków i chodaczków. Pytanie jednak, czy ciżba, wiedziona na pasku Batorych, trzymana należycie w ordynku, nie byłaby masą najpowolniejszą, narzędziem doskonałym ideowości państwowej i podwaliną dla mocarstwowości niezachwianej. Tysiąc przyczyn złożyło się na zjawisko, że tak nie stało się i dlatego błędnych u ogólnień z minionego stanu rzeczy nie należy wyprowadzać. Natomiast z historją ostrożnie, albowiem ciągnięcie jej za włosy i przystosowanie do bieżących wypadków rozwojowych zamienić ją musi na politykę, a polityka nigdy nie jest sprawiedliwością i bezstronnem patrzeniem w głębie przeszłości...

O ile porusza się proces dziedziczenia i przenoszenia się psychiki z pokolenia na pokolenie z obejmowaniem coraz nowych warstw w miejsce usuniętych ze szachownicy społecznej, a przynajmniej z jej górujących pól, zapytałby raczej należało, czy szerokie masy, uwarstwowione jeszcze stosunkowo niedawno bezczynne, nie są właśnie jak gmin ongi szlachecki podatną bryłą do toczenia po równi życia narodowego... Oczywiście, byle nie w dłoniach nowej oligarchji rodowej czy parwenjuszów, ale politycznie wyrobionej, umysłowej, przede wszystkim szanującej władzę i praworządność i w nich widzącej jedyne *raison d'être* państwa.

Otóż opowiadają o okupantach niemieckich, że z podziwem spostrzegali powolność, karność naszej ludności wobec najazdu i wykonywanie najsumienniejsze wszelkich zarządzeń administracyjnych i t. d. Z pewną żartobliwością wyrażali się o potulności społeczeństwa i wypowiadali przekonanie, że gdyby obwieszczono publicznie, iż w tym a w tym dniu należy przynieść obcięte prawo ucho, niechybnie prześciganoby się w dostarczeniu żądanej części twarzy... Jedna pikielhauba, jedno „verboten“ wystarczyło, aby setki trzymać na wodzy, aby znieruchomić tłum i szmer wszelki utrupić na wargach. Przeciwnie, sam widziałem na dworcu brzeskim, jak ciżba zniecierpliwiona czekaniem na rampie, na półgodziny przed odejściem pociągu powitała gwizdem rozkaz

codna, że napatrzeć jej się dość nie było można. Nie było takich objawień, których nie oczekiwaby od nocy cudów! Uwolniła nas wszystkich najpierw, a potem wzięła tyrs i w radosnem podnieceniu pomknęła z matką w góry. Podążyliśmy za nią, jak jeszcze pierwej zleciła nam Prokne; lecz co się stało nocą, tego już widzieć nie mogliśmy.

— Tu zaczyna się moje opowiadanie, — podjęła Niktymena. Uniesienie bachiczne opanowało Earynę z siłą nadzwyczajną. Wkrótce starsze bachantki, a nawet matka straciły nad nią wszelką władzę. Z całą mocą czuła, że dusza jej oddzieliła się od niej i miejsce jej zajął sam Dionyzos w jej ciele. Tylko jej szalone wykrzyki dawały się słyszeć: w górę! naprzód, bachantki! naprzód, bachantki! Matka pozostała w tyle; Earyna rzuciła się do korowodu, pędzącego w dal, wzdłuż urwiska. „Czemu pędzicie strachliwie wzdłuż brzegu?“ — zawołała do nich, „czyż Dionyzos pożałuje skrzydeł dla wiernych swoich służebnic?“ „Oszałałaś! — odrzekła jej najstarsza. — Rozumiesz się! Wszak tego żąda Dionyzos. Jesteście wszystkie

nosicielkami tyrsów zaledwie, ja tylko jestem pośredniczką! — Daj tutaj! I przełożywszy w lewą rękę tyrsos — prawą wyrwała pochodnię z rąk starszej bachantki. Wyrwała i ze śmiechem pobiegła wprost na krawędź urwiska. „Pędź płomieniu Dionyzosa!“ wykrzyknęła wesoło, rzucając w przepaść pochodnię. Były to jej słowa ostatnie. Śladem pochodni i sama skoczyła ze skały — i oto leży tutaj.

— Byłem i ja przy tem — powiedział Gip — lecz cóż mogłem począć? Dziada jej niegdyś uratował od zguby, tu, na tym samym Pangeju, lecz był on wówczas dzieckiem, a i ja byłem młodszym.

— Zaufała Dionyzosowi — odrzekła Prokne; na cóż jej inni obrońcy? I wierny bóg jej nie zawiódł: przeniósł ją bezpiecznie drogami powietrznymi i złożył ją ostrożnie na wiernej piersi matki — Ziemi. Nie straciła nawet przytomności: poprostu oczekuje na powrót duszy swojej z korowodu błogosławionych. I boję się nie tego, lecz o wiele bardziej czego innego. Aglaodor będzie wielkim prorokiem, lecz tego nie wie, że obrzędy

milicjanta „czekać“, potem wyparła go z otworu ogrodzenia, obaliła na peronie i jak rozszalała, rozwyrzona, pędziła ku przedziałom.

Zkąd te różnice?

Czy z obawy przed obcym a z zuchwalstwa przed swoim?

Byłaby to obserwacja wprost desperacka, zdmuchnięcie promienia nadziei, stłumienie wszelkich pierwiastków wiary w udoskonalenie się i zmodernizowania społeczeństwa. Nie masa jest winna, że zatrzymała się przed pikielhaubą, a milicjanta polskiego znieważyla, — tylko czynniki wykonawcze, rozstrzygające, które nie umieją zniewolić i wymódcz postuszeństwa dla siebie i tem samem skazują podrzędne organy w najlepszym razie na podjęcie pół-czynu. W anemicznem, chwiejnem ciele, wszystkie składniki anatomiczne są niedokrewne. Ogół zaś przyzwyczajony do knuta rosyjskiego, do samowoli „obrusitieli“, do rozmaitych terminów, objętych wymowną nazwą zsyłek, cytadeli, katowań w aresztach, administracyjnych porządków i rozległej skali udręk, do stawiania sztorcem wobec polityki pedagogii pruskiej w Poznańskim, która w arsenałach dzierżyła „Kulturkampf“, ustawy wyjątkowe, wywłaszczania, baty szkolne i wciskała cierpicielei, jak orzech, w dziadek zakazów i nakazów, — nauczył się gardzić władzą, choć uginał do pewnego stopnia przed nią karku, nauczył się chodzić przez wyboje życia w myśl przysłowia *oderint dum metuant*. Zrodziła się zatem nienawiść, żywiołowa odraza do wszelkich szczebli urzędowych, do owych „czynów“, które stały się niemal uosobieniem drapiestwa i piekła na ziemi, smokiem apokaliptycznym, budzącym obrzydzenie i nieufność. Bezbronny, osmagany i obdarty człowiek bronił się w ten sposób przed nietoperzem i sępem zarazem. Pamięć o straszyle urzędów obcych zaciążyła na polskich. Widziano w nich nie kość z kości, krew z krwi, tylko dalszy ciąg, w odmienną szatę przybranych czapek z bączkami i odruchowo pokazano im plecy. Tylko odmienność owego pokazywania pleców jest zasadniczo różna. Co było wolno Meyerowi, Muellerowi czy Szapośnikowowi, — nie wolno było naszemu na „ski“. Ten

nie mógł bić kolką, pastwić się, nie mógł grozić cytadelą lub tajgą syberyjską. A dobroduszość, — owo „swój dla swego“ utrwalały się i wpały w powszechność lekceważenie dla wykonawców, którzy nie brutalizują, nie wywijają kułakiem, nie zlorzeczają i torturują. Nawyczki życia w kaźni absolutyzmu jawnego lub zamaskowanego zanadto wzięły się w umyśle, przeobrażenie przyszło nagle, — stąd daltonizm, niemożność oddzielenia minionej zmyry od istotnej, nowej rzeczywistości. Do wzmoczenia zamieszania przyczyniły się niemało naczelnie sfery biurokracji, podmywana fala partyjnego sekciarstwa, obawiające się ustawicznie zemsty w razie zmiany kursu, czujące się ciągle w siodle nie dość przyciśniętem popręgami, oglądające się na prawo i lewo, nie chcące nikogo drażnić. A władza nie powinna być ani białą ani czerwoną, ani kolorową, tylko *władną*. W tem pojęciu mieści się wszystko, cały obszar uposażenia. Społeczeństwo nasze potrzebuje sternika i sterników ze względu na młodszość cywilizacyjną, przerwany był polityczny i brak wyrobienia w służbie publicznej. Konstytucja nie może być ramą dla mazgajstwa u góry, dla obojętności lub nieposzanowania u dołu. Zbędnym jest rząd, który każe obywatelom obcinać sobie uszy i znosić je na ołtarze autokratyzmu, konieczny natomiast taki, który trzymając się ustawodawstwa obowiązującego przeprze jego postanowienia w sposób rozumny, — ale zupełnie bezwzględny. I z pewnością z chwilą powstania podobnego rządu nie opancerzy się powszechność oporem, — lecz pójdzie za nim, byle umiał prowadzić. Przysłowiowa anarchja i gospodarka polska są objawem rozluźnienia na szczytach, — nie nizinach. Nic nie wskóra loterja wyborcza, rzucanie kości na tę czy na ową cyfrę, wskórać jedynie może zrozumienie niewątpliwej prawdy, że narody muszą być rządzone. Jeżeli to u nas najprędzej nie stanie się zastąpią do reszty dawnych oligarchów politycy zawodowi, często bardzo niesumienni, oddani własnym interesom, a milionowe tłumy pójdą na lep ich demagogji i odegrają rolę najpowolniejszych, najciemniejszych pionków. Wówczas faktyczna władza spocznie w rękach niepowołanych, ściera-

Dionyzosa, zbawienne dla innych, są trucizną dla niej. Drodzy moi, podwójmy nasze zabiegi, śpiewajmy jej dniem i nocą o zielonej szacie matki — Ziemi i nie pozwólmy, aby myśli głębino-we opanowały jej duszę!

Zerwała się i poprunęła na gałąź, na której siedział Gip wraz z Niktymeną i wkrótce stamtąd popłynęła ku śpiącej głośno, niemilknąca, żalosa a tryumfująca pieśń. I powoli poczęła się „skupiać w piersi“ leżącej jej dusza.

Uniosła głowę, ze zdziwieniem popatrzyła wokoło — z początku uśmiechnęła się, chwilę, lecz wkrótce zamyśliła się i głęboki cień żywy ślad dawnego dotknięcia, zasnuł jej czyste czoło.

— Więc to jest dusza — szepnęła, jakby sama ze sobą mówiąc. — Więc taka jest jej samoistność. A skoro samoistność, — to i nieśmiertelność! Czegóż boją się ludzie? Chwała ci, Dionyzosie! Nauczyłeś mnie wiele podczas tej nocy.

— Dionyzos, syn Semeli i Zeusa i Dionyzos pierworodny, syn Persefony... i obaj są jednym boskiem jestestwem. Czemuż boją się ludzie Persefony, skoro jest ona matką Dionyzosa? Nie ro-

zumieją tajemnicy tych słów i dlatego się boją; a ja rozumiem i dlatego się nie boję. Nie boję się ciebie, Persefono, lecz kocham i bez bojaźni wymawiam twe imię, jak córka imię matki. Kocham cię, Persefono...

— Zapomnienie... cóż to jest zapomnienie? Gdy żyję, jeden obraz wypiera drugi w mej świadomości, nim pierwsze osiągną miejsce, inne ustępują, ostatnie zapadają w przepaść. To właśnie jest zapomnienie. A skoro żyć przestanę, to nie będzie tej zmiany obrazów i nie będzie zapomnienia. Wszystko, co dało mi życie, pozostanie w mem trwałem posiadaniu po wszystkie czasy, wszystkie myśli moje, wszystkie uczucia i wszystka miłość moja. Czemuż mam się obawiać śmierci? Śmierć — to pamięć wieczna, posiadanie wieczne tego, co mi jest drogie, wszystkich wartości mej duszy. Oto, co dał mi Dionyzos, jako dar matki swojej Persefony.

Złożyła znowu głowę na tympanie: spojrzenia jej, skierowane na niebo poprzez listowie dębu, wykryły sowę, sępa i ptaszynę — słowika. Ta rozśpiewała się jeszcze doniośle, pragnąc zagłu-

jących i zwalczających się, — a ogół zapłaci znowu za anemię, za niewycucie ducha praw wiekuistych, które odchyłeń nie znają.

Ernest Łuniński.

Poglądy gospodarcze i społeczne Waltera Rathenaua.

I.

Leży przedemną 5-cio tomowe wydanie zbiorowe dzieł Waltera Rathenaua, syna Emila, sławnego elektrotechnika i finansisty, o którym syn w mowie pogrzebowej powiedział, że cechowała go prostota, miłość prawdy, dar przenikania do istoty zjawisk i miłość dla ludzi, cztery przymioty, bez których niema wielkości.

Wydanie to obejmuje prace estetyczne, filozoficzne, ekonomiczne, hymn wierszem na cześć roku 1813, beletrystykę. Niema tam rzeczy płytkich, widocznie autor starannie przejrzał to wydanie w r. 1918 i pozostawił w niem to tylko, co jest niepospolite.

Rathenau był żydem z urodzenia i wyznania do chwili śmierci nie zmienił, ale co do przekonania swych religijnych oświadczył w rozprawie „Eine Streitschrift vom Glauben“ (V 109), że stoi na stanowisku *ewangelji*, że pragnie *państwa chrześcijańskiego* (V 118), „na jego podstawie bowiem wyrosliśmy my (Niemcy) i cały zachodni świat uczuć i myśli“, że jest za wychowaniem religijnym, a tylko nie uznaje dogmatów np. wymienionych w składzie Apostolskim i zapatruje się wogóle na kościół jako ziemską powłokę czystej wiary, żądając dla tego wolności w wyborze formy przy przyjęciu wewnętrznej treści chrześcijaństwa. Nad zwłokami ojca swego ten szczególny żyd wypowiedział następujące słowa: „W owej pełnej zagadek nocy, gdy mąż nazwany wielkim w Izraelu przyszedł do swego Mistrza, mówili oni o rzeczach ostatecznych istnienia, o życiu i ponownem narodzeniu, o „umierają“ i „stań się“. I rzekł Jezus: Wiatr wieje, kędy chce, poświst jego wpraw-

dzie słyszysz, ale nie wiesz, skąd powstaje i dokąd zmierza. Podobnie bywa z każdym, kto się z Duchą narodził (Ewang. św. Jana III 8 tłum. ks. Szczeptańskiego S. J.). Tego nie zrozumiał Nikodem i spytał o objaśnienie. A Mistrz wskazał ku górze i odnosił to do tajemnicy Bożej. A do nas, którzy po tysiącach lat słyszymy owe słowa, dociera uderzenie skrzydeł i tchnienie Ducha i wymawiamy cicho i ze czcią słowo: Geniusz“ (V 11, 12).

Taki oto cytat z Ewang. św. Jana, wskazujący na Boski charakter Zbawiciela, wplótł ów niezwykły Żyd do swej mowy nad grobem Żyda. swego ojca.

Od początku patrzył ze smutnem niedowierzaniem na wojnę, przepowiadał, że szaleństwo ulic wielkiego miasta, że arogancja zmaterjalizowanego życia, że pragnienie nowych miliardów i zabójcza indolencja marzącego tylko o interesach mieszczaństwa sprowadzą klęskę i wręcz twierdził, że Prusy korzystały tylko wówczas, gdy brały ciężki. Uroczysty obchód 2-letniego jubileuszu wybuchu wojny (31/7 1916) wydaje mu się świętem śmierci, wstępem do symfonji przeznaczenia, które widzi ciemnem i straszem. (III 235). Wierzył, że Bóg zesła Niemcom ratunek, ale nie wierzył w pełnię zwycięstwa, bo nie wierzył w prawo Niemców do rządzenia światem i narzucania innym narodom swego sposobu myślenia i uczucia, skoro Niemcy nie zdołali wykrzesać w sobie samych woli własnej odpowiedzialności. W wojuie tej widział nie początek, ale koniec. Zostawi ona po sobie gruzy a nowe życie wytrysnąć może tylko na *ruinach* dawnego.

Rathenau był człowiekiem wielkich i dalekich celów, jeśli kto chce, był marzycielem. Tak zwane kwestje dnia określa z lekceważeniem jako rezygnację z wielkich problemów gwoli tworzenia chwiejnej równowagi, jako politykę najmniejszego oporu, jako zaspokajanie potrzeb i próżnostek, o które się najgłośniej upominają, miast przeprowadzenia tego, co jest naprawdę potrzebne, choć trudne.

W wielkiej książce „Von kommenden Dingen“ (O rzeczach przyszłych), napisanej w r. 1916 stworzył próbę programu reform socjalnych, etycz

żyć swą pieśnią głębinowe myśli swej ulubienicy. Earyna uśmiechnęła się.

— Zdaje się, że się nie zgadzasz ze mną, droga moja; cóż robić, ja mimo to mam słuszość! Mówisz mi, że powinnam kochać matkę. Kocham ją, a więc pragnę kochać ją na wieki. Rozumiesz? na wieki. Czyż będzie tak, gdy będę długo żyć na ziemi? Zdaje się, mam tam braci, których nie znam jeszcze, a gdy poznam, to pewnie pokocham. A później będzie mąż, a jeszcze później — dzieci. I wyobrażenia będą wypierać się wzajemnie i jedne będą naciskać drugie, ostatnie zaś stracone będą do przepaści. Matunia będzie stracona w przepaść. Czyż mogę pragnąć tego, skoro kocham ją? O tem ty mi zaśpiewaj, skoro się ze mną nie zgadzasz.

Lecz ptaszyna śpiewała swoje i pieśń jej pokonała wkońcu dowody młodej odratowanej. Podniosła się, jeszcze raz rozejrzała się wkoło, podjęła tyrs swój... Tak miłośnie grzało ją słonko, koniki polne trzeszczały i ptaszyna boża tak gorliwie śpiewała tam na sęku między szanownemi postaciami sowy i sępa. Uśmiechnęła się Earyna.

— Hej stara znajoma i ty jesteś tutaj?

Chwyliła synagorlicę, która się nie bronila.

— Pobędziesz jeszcze u mnie, nie znudziło nam się, — rzekła jej.

— Znajdzie się także miejsce i dla innych gości.

— Oto ona! Oto ona! — krzyknął czyjś głos radosny. Earyna poznała Jate, przyjaciółkę swej matki. Były one obie; lecz Fillida ani słowem, ani krzykiem nie zdradziła swego wzruszenia. Podeszła tylko do córki i długo, długo patrzyła jej w oczy i objawszy ramieniem jej kibić, powiodła ją wdół potoku, ku Strymonowi i Dziewięciu Drogom. I nie puściła jej przez całą drogę, tuląc ją do siebie, jak skarb odnaleziony niespodziewanie. !I mimowoli nasuwało jej się pytanie: na ten raz zwrócono mi cię jeszcze, lecz co będzie następnym razem?

C. d. n.

Tadeusz Zieliński

nych i politycznych, uderzającą przede wszystkim zwrotem ku religji pozytywnej i śmiałym antagonizmem przeciw wszystkiemu, co w królewskich Prusiech dzierzyło ster rządów. Szczegółowy rozbiór tej książki intuicyjnej i wnoszącej się miejscami do wyżyny natchnienia, ogłaszam na innem miejscu.

Na długo przed wojną przewidywał Rathenau jej przyjsie. W r. 1911 pisał, że widzi cienie, w którakolwiek stronę się zwróci (I 206), w r. 1912 wskazywał pótkonstytucjonalizm niemiecki jako powód, dla którego Niemcy nie wydały wybitnych mężów stanu (I 214), w r. 1908 niepokoił się nienawiścią żywioną w Angliji, na prowincji i wśród młodzieży do Niemiec, wskazując, że wielkie konflikty międzynarodowe wybuchają zawsze skutkiem uprzedzeń i nieporozumień niewidzących wyjścia (I 169), w r. 1912 porównywał zadanie wielkiego przemysłowca a. męża stanu i doszedł do konkluzji, że jest między nimi tylko różnica przedmiotu nie metody. „Utrzymać w garści marynarkę, czy przemysł żelazny amerykański a przeprzeć budowę kolei w Turcji lub traktat cłowy, to zadanie jednakowe. Walki syndykackie i układy o zawarcie przymierzy różnią się w istocie swej co do treści, mniej co do metody. Około 10,000 nowych przedsięwzięć powstało w Niemczech i wszystkie znalazły odpowiednich kierowników. Ponadto Francja, Ameryka, Włochy i Rosja ściągnęły z Niemiec wybitne siły fachowe... Ale urząd spraw zagranicznych nie wzbogacił się w odpowiednim stosunku „wybitnymi siłami“ (I 224). Słowa te brzmią jak gdyby przepowiednia własnej niezwyklej kariery. Ten wielki przemysłowiec bowiem zginął jako niemiecki minister spraw zagranicznych.

„Nie ze strony robotników, pisał już w roku 1912, grozi nam niebezpieczeństwo; brak umysłów kierujących i nierówny podział ciężarów wstrząsnął pruskim ustrojem państwowym“ (I 232). Parlament powinien rządzić, bez tego prawa nie może być produktywny, a nie znając wszystkich szczegółów danej sprawy, nie może mieć poczucia odpowiedzialności, ożywającego we Francji i Angliji każde stronnictwo, które tam codziennie gotowe być musi do objęcia rządów (I 241). Słowa o wzmożonych wymaganiach do rządzących, podkopujące wymownie ideę monarchji „z Bożej łaski“, acz ledwie przed 10 napisane lata (I 245 i n.), budzą zapewne dotąd w kołach pruskich junkrów oburzenie, u nas czyta się je na szczęście obojętnie. Uchwalenie miljarde marek na nowe zbrojenia w r. 1913 wywołuje w autorze wieszce przeczuć, że to nie odwróci przeznaczenia, ale je przyspieszy, protestuje więc przeciw porównaniu tego podatku z ofiarami wielkiego roku wojny o wolność, 1813. Najwspanialszym objawem szczęśliwych walk z Napoleonem była bowiem zdaniem jego nie ofiara i nie zwycięstwo, ale obrachunek sumienia z powodu win przeszłości, który je wyprzedził. Zniesiono pańszczyznę ludu, wzmocniono prawa obywatelskie mieszczan, tworząc zaś przybytki najwyższej, nauki pozornie oddalano się od codziennego życia, „a jednak pokonano te rzeczywistości z taką pewnością, z jaką zawsze duch pokonuje ciało“. Naród oczyścił się w ogniu cierpienia. W tem pojmowaniu r. 1813 przebija się wyrozumowany, antimaterialistyczny, na wskrosz chrześcijański i katolicki światopogląd Rathenaua; mówię, katolicki: bo Rathenau kładzie nacisk na rachunek sumienia i na zbawienie przez uczynki.

W wielu ustępach wypowiada zgodnie z tem Rathenau uwielbienie swe i cześć dla katolicyzmu i dosyć średnią ocenę religji ewangelickiej, co przyczynia się do tłumaczenia późniejszej nienawiści junkrów i współdziałanie jego z katolickim centrum w sejmie Rzeczy.

Wybuchła wojna. 9 sierpnia 1914 r. Rathenau zwrócił uwagę ministra wojny Falkenhayna, że Niemcom blokowanym przez Anglię mogłoby zabraknąć surowców potrzebnych na obronę państwa i że trzeba zawczasu temu przeciwdziałać. Minister natychmiast uznał tę uwagę za słuszną, stworzył oddział surowców wojennych w ministerstwie wojny i kierownictwo jego powierzył samemu inicjatorowi. Nie wiadano nawet, na jak długo starczą zapasy dotychczasowe. Odniósł się więc Rathenau do 900 czy 1000 dotychczasowych dostawców ministerstwa wojny. Do trzech tygodni z nadesłanych odpowiedzi uzyskał pogląd na stan rzeczy. Otwierały się 4 metody działania, cztery drogi, na które wstąpiono równocześnie.

Wszystkie surowce poddano zarządzeniom ustawowym w ten sposób, że właściciele ich ograniczono w swobodnej niemi dyspozycji. W szczególności wydany został zakaz przetwarzania ich na przedmioty zbytku lub potrzeb ubocznych. Nie była to konfiskata czy rekwizycja, które sprawałyby to kłopot państwu, utrudniając przeróbkę i przechodzenie towarów z ręki do ręki, a pociągnęłyby za sobą ciągły obowiązek dozoruwanja miljardowych wartości. Nie, towar zostawał nadal własnością prywatną, ale z chwilą poddania go ograniczeniom wojennym właściciel jego nie mógł wykonywać przeróbki na towar użytku pokojowego. Z chwilą ograniczenia właściciela w prawie dyspozycji musiał fabrykant zastosować urządzenia swej fabryki, metody pracy i wytwory do celów wojennych, musiał rozpocząć nowe życie gospodarcze. W ciągu dwóch miesięcy olbrzymi przemysł niemiecki dokonał tej kolosalnej przemiany. Dokonał jej przy pomocy szeregu spółek producentów wojennych, które Rathenau powołał do życia. Za pośrednictwem tych spółek otrzymywał fabrykant niemiecki od rządu surowce celem ich przeróbki w myśl zamówienia. Spółki rozdzielały je między poszczególnych członków w miarę dokonanych u nich przez rząd zamówień. Odtąd towary nie podlegały już wolnej konkurencji, spółki stanowiły pewnego rodzaju samorząd, w przemysle w ten sposób powstawało coś pośredniego między wolnością nieograniczoną a tem, co u nas darzy się nieścieniem zgoła mianem, mianem etatyzmu.

To była droga jedna, odjęcie prawa dyspozycji nieograniczonej właścicielom surowców i zastrzeżenie pierwszeństwa na rzecz państwa dla celów wojennych.

Dalej postanowiono zakupić wszystkie surowce w państwach neutralnych, z krajów zajętych przez wojska niemieckie zabrać je poprostu czyli skonfiskować. Do tej kategorii należy zabranie dzwonów, klamek i wogóle wszelkich przedmiotów metalowych w Polsce.

Po trzeciej wytknął sobie Rathenau jako cel wytwarzanie w obrębie Niemiec wszystkich towarów niezbędnie potrzebnych oraz zachęcenie i dopomaganie do wynalezienia nowych metod fabrykacji, o ile dotychczasowa technika okazała się niewystarczającą.

Po czwarte wreszcie rozpoczęto wyrób nowych fabrykatów przy użyciu materiałów innych niż dotychczasowe, łatwiej dostępnych a mogą-

ych zastąpić używanie dawnych. Weszły na widownię t. zw. namiastki.

Ogół nie orjentował się w treści i rozmiarach wytkniętych zadań i celów. Nie rozumiano, że wynik wojny zależał od nagromadzenia wystarczającej liczby zapasów, któraby umożliwiła przetrzymanie. Nigdyby Niemcy bez inicjatywy Rathenaua nie potrafiły przez z górą 4 lata opierać się koncentrycznemu atakowi tylu nieprzyjaciół. Udało się na początek Rathenauowi zgromadzić koło siebie mały zastęp entuzjastów, którzy od 9-ej rano do 12-ej w nocy pracowali, z początku bezinteresownie, dla publicznego dobra. Zaczęto pracę w 5-ciu ludzi, umieszczonych w 4-rech pokojach; po 8-miu miesiącach urzędników liczono setki a wraz ze spółkami wojennymi tysiące; obroty ich dosięgły setek milionów marek. Wojska niemieckie zdobyły ogromne składy wełny, kauczuku i saletry. Rathenau przystąpił do zużytkowania tych skarbów dla gospodarki wojennej, starając się przytem zachować przepisy prawa i możliwie nie uiszczyć przemysłu zdobytych krajów; tworzył organizacje, zakładał filje, zarządzał inwentaryzację składów, zawierał umowy o miejsca przeładowania, o tory kolejowe, o odszkodowania. W ten sposób oddział ministerstwa wojny, na którego czele stał Rathenau, rozporządzał tak ogromnym zapasem towarów, że stawał się podobnym rozmiarami do przedsiębiorstwa światowego. Największą troską Rathenaua budziła saletra. Dla zapewnienia sobie dostatecznej jej liczby zainicjował budowę całego szeregu nowych fabryk chemicznych. Fabrykanci wznosili je własnym kosztem i dopiero gdy stawały pod dachem, ministerstwo dawało im zamówienia. Zapotrzebowanie saletry wzrastało ciągle na wszystkich frontach. Gdyby Niemcy były czekały z tworzeniem nowych fabryk do czasu, gdy brak ich okaże się widocznym, byłaby powstała w akcji wojennej pauza i to właśnie wtedy, gdy na froncie wschodnim zachodziła potrzeba ogromnej ilości amunicji. Równocześnie sprowadzał powiększenie produkcji górniczej oraz zakładanie fabryk elektrolitycznych i elektrotermicznych.

C. d. n. Prof. Leopold Caro.

NA MARGINESIE.

Zebrała się tedy w Lozannie jeszcze jedna konferencja pokojowa z długiej serji tych, które zapoczątkowano w Wersalu 1919 roku. Zdawałoby się mogło, że po zakończeniu wojny konferencje przeszły w stan chroniczny i nieuleczalny, jeśli powtarzać się muszą nawet wtedy, gdy główny ich zwolennik i impresarjo, Lloyd George, zszedł z areny, a ster polityki międzynarodowej przeszedł w ręce ich zasadniczego przeciwnika, Poincaré'go. Jasną rzeczą jest bowiem, że ostatnie wypadki na Bliskim Wschodzie spowodowały pewne przesilenie w stosunkach międzysojuszniczych, a upadek Lloyd'a George'a był zarazem upadkiem polityki, którą on prowadził imieniem Anglii, tryumfem tej, którą Poincaré imieniem Francji mu przeciwstawiał. Francja nie tylko nie jest już izolowaną w Radzie Międzysojuszniczej, lecz doczekała się tego, że wszyscy sprzymierzeńcy zgodnie wkoło niej się skupili. Nowy kierunek we Włoszech, nowy w Anglii nastął pod hasłem zbliżenia się do Francji. Jakkolwiek tedy konferencja Lozań-

ska jest dalszym ciągiem długiej serji obrad międzynarodowych, nie jest jednak ich prostym wznowieniem lecz pewnego rodzaju premiera: zmienił się temat, zmienili się i główni aktorzy dramatu, można tedy przewidywać, że zmieni się również i tempo i tył gry. Zjawia się przede wszystkim nowa osobistość, Mussolini, a sądząc z jego dotychczasowych wystąpień na arenie wewnętrznej, wnosi on w politykę bardzo odświeżający pierwiastek prostoty, jasności, otwartości. Operowanie sztuczkami, wybiegami, zasadzkami, w których lubowała się polityka Lloyd George'a, zdaje się wykluczone. Nie ma do nich upodobania Poincaré, a nie będzie się do nich uciekał i lord Curzon, oparty o potężną większość solidnego, konserwatywnego stronnictwa. Wybory w Anglii postawiły go w tem położeniu, że może zaniechać wszelkiego kokietowania opinji angielskiej mowami i gestami produkowanymi w Lozannie i może się całkowicie oddać rzeczowemu rozstrząsaniu spraw doniosłych, będących na porządku dziennym. Niewątpliwie wiele zagadkowych niespodzianek w wystąpieniach Lloyd Geor'a tłumaczyło się tą okolicznością, że jako premier rozszechpiającej się koalicji rządowej, człowiek siedzący na dwóch czy trzech stołkach, musiał się ciągle kręcić i poprawiać na swem siedzeniu w obawie, by mu się jeden z tych stołków nie wymknął. Równie mocno osadzony w siodle jest i pan Mussolini po swem świeżem, bezkrwawem zwycięstwie nad przeciwnikami wewnętrznymi, których śpieszy czempredzej, po pokonaniu ich, rozbroić dla zażegnania jakiejś powrotnej fali odwetu. Kampanja rozegrana przez Mussolini'ego jest wymownym dowodem wielkiej doniosłości szybkiego i stanowczego działania w polityce; na tę szybkość, stanowczość i precyzję może się zdobyć mąż stanu tylko wtedy, gdy ma jasny obraz celu przed sobą i chodzi mu tylko o śmiałe wykonanie dobrze przemyślanego planu. Kto bez namysłu do działania przystępuje, musi się wahać i namyslać w ciągu działania, a przerwy między jednym krokiem a drugim dają pole przeciwnikom do zgotowania niespodzianek, wymagających znowu dalszego wahania i rozmyślenia.

Nowym gościem w Lozannie jest oczywiście przede wszystkim przedstawicielstwo rządu tureckiego, o którym dziś jeszcze niepodobna przesądzać, jak silnie ugruntowane jest jego stanowisko na wewnątrz. Jakkolwiek konferencja dotyczy tylko Bliskiego Wschodu, jest jednak rzeczą nieuchronną i dającą się zgóry przewidzieć, że korzystając z pierwszego spotkania się nowi kierownicy polityki głównych mocarstw omówią między sobą i inne sprawy pałace, naprzykład wspólną linję postępowania wobec Niemiec.

Te ostatnie nigdy jeszcze nie znalazły się wobec tak nieprzychylniej dla siebie konjunktury jak obecnie. Znikła z horyzontu sympatyczna i obiecująca postać Lloyd'a George'a, a wraz z nią zapadła w mgłę nadzieja wywołania rozdźwięku w Entencie i wygrywania jednych sojuszników przeciw drugim. Co więcej, są one w danej chwili zupełnie pozbawione tego czynnika wewnętrznej konsolidacji, który stanowi o sile ich partnerów. Dzieje ostatniego przesilenia rządowego w Niemczech, a zwłaszcza jego wynik, ogromnie przypominają nasze przesilenia i nasze wewnętrzne tarca. Dziś już zupełnie niewiadomo, czego po nowym rządzie niemieckim można się spodziewać, na co liczyć. Nikt nie wróży mu długiego i trwa-

łego istnienia. Masy z niechęcią widzą u steru tych, którzy są głównymi winowajcami obecnego kryzysu, którzy do niego pchali i na nim się dorabiali, ciągnąc zyski z powszechnych klęsk, najprzód z wojny, później z katastrofального spadku marki a zawrotnego wzrostu cen utrzymania.

Doprowadziwszy stan rzeczy do absurdu, sami dziś podejmują akcję ratunkową, dziwić się tedy nie można naturalnemu podejrzeniu, że ona będzie nowym spekulacyjnym geszeftem, godnym uwiecznieniem wszystkich poprzednich. Już tu i owdzie w Niemczech wybuchają krwawe rozruchy głodowe, które przecież nie mogą być wyrazem zaufania do polityki nowych sterników władzy w Niemczech.

Ten, który wie, czego chce, łatwo bierze górę nad tymi, co nie wiedzą, czego chcą, a naród rozdarty i skłócony na wewnątrz jest jak człowiek pełen wahań, wątpliwości i rozterki wewnętrznej.

Takim niewesołym i nieobiecującym obrazem jest w tej chwili naród polski na progu nowego konstytucyjnego życia. Woła narodu, której wyrazem miały być wybory, okazała się chwytliwa i niepewna. Sejm nie będzie się dzielił nawet na „większą i mniejszą połowę“, co dałoby się jakoś pogodzić z polityką, choć nie z logiką i arytmetyką, lecz na trzy odłamki nierównej wielkości i spistości, z których żaden sam rządu stworzyć nie może, ale może skutecznie cudze rządy obalać. Wybierany pod negatywnymi hasłami dał wynik również negatywny. Jedni nie chcieli za żadną cenę dać zwycięstwa „reakcji“, vel endecji; udało im się; endecja nie zwyciężyła, ale reakcja zaskoczyła ich z drugiej strony, silnie reprezentowana w bloku mniejszości narodowych. Drudzy nie chcieli dopuścić do tryumfu żydów i „inorodców“ i doprowadzili do tego, że wszyscy „inorodcy“, semici i antysemici, zablokowali się przeciw nim. Walczyli przeciw lewicy, socjalistom, ludowcom, i przekonali się wkońcu, że siła złego na jednego, że kto wyzywa do walki cały świat, musi się liczyć z koalicją całego świata przeciw niemu. Z prawej i lewej strony uderzano w ścianę najmniejszego oporu, w centrum; centrum się rozsypało, ale cóż z tego? Spotkano ścianę twardszą, od której nic odkruszyć się nie da. W przerwie między wyborami a pierwszym posiedzeniem sejmum próbowano nadgryźć tę ścianę. Silono się na najrozmaitsze sposoby, by z każdej „prawie połowy“ zrobić coś więcej ponad połowę izby. Nie słyhać, aby te wysiłki doprowadziły do jakiegoś obiecującego rezultatu. Kto z antagonizmów zrobił program, nie może rozbroić antagonistów bez ofiary z jakiejś części programu. Sejm bez większości nie jest większym nieszczęściem, niż rząd bez programu. Jedno i drugie to w rezultacie polityka nie wiedząca, czego chce. Kierunek, który niewiadomo dokąd zmierza.

Nowy sejm zbiera się tedy pod „znakiem niepewności. Nie widać ani takiego zespołu, któryby mógł obecny rząd podtrzymać, ani takiego, któryby zdołał nowy wytworzyć.

Reflektor.

LISTY POUFNE

**Cara Aleksandra II i W. księcia Konstantego
z roku 1862**

w sprawie wygnania Andrzeja Zamoyskiego
(z b. Archiwum rodzinnego Romanowów).

(Ciąg dalszy *.)

III.

Car Aleksander II do W. Ks. Konstantego.

6.18 Września 1862. Carskie Sioło.

Drogi Kostusiu! Jutro rano wyprawiam do Ciebie z powrotem twego adjutanta Sierżputowskiego, by w wilę twoich narodził wręczył Ci piśmiennie moje pozdrowienie, które słabo tylko wyraża te uczucia mojej serdecznej miłości i wdzięczności wypełniające moje serce. Oby Cię Bóg uchował, wzmocnił i wynagrodził za prace Twoje i poświęcenie, z jakim pełnisz swoje zadanie. Wiesz o tém, żem w niem widział nowy dowód Twej wierności i pragnienie służenia Rossji, jak to nam przekazał nieoceniony nasz Papa. Idź tak dalej, jakieś zaczął, z przekonaniem o słuszności naszej sprawy i z ufnością w łaskę Bożą. On Cię nie pozostawi bez pomocy. O zupełnem mojem do Ciebie zaufaniu, mówić zbyt ciężka. Znasz je dobrze i szczęśliwy jestem, że mogę Cię zapewnić, iż na nie zasługujesz w zupełności...

Pogląd mój na przyczyny wysyłki tutaj Zamoyskiego znanym Ci już jest z ostatniego mojego pisma. Szczegóły tej sprawy, zawarte w listach twoich z dnia 1.13 i 3.15 jeszcze bardziej mnie w przekonaniach wzmocniły, a słusznie mówisz, że żaden rząd na świecie nie może tolerować podobnych faktów, bez narażenia się na zarzut niewybaczalnej słabości. Lecz, aby ostatecznie o losie jego postanowić, oczekiwać będę, stosownie do twego życzenia, następnego twego pisma.

Tymczasem od przyjazdu swego tutaj Zamoyski zachowuje się spokojnie, chociaż przy widzeniu się z Potapowem nie mógł się wstrzymać od wypowiedzenia mu tego, coś sam od niego usłyszał. Jakkolwiek jest na wolności, lecz rozkazałem śledzić go bacznie. Publikację w warszawskich gazetach o jego wysyłce potwierdzam, lecz zakazałem przedrukowania jej tutaj, dopóki los jego nie będzie rozstrzygnięty. Prawdopodobnie ja sam go zobaczę.

Przeczytawszy bezmyślny adres, nie mogę dać nań innej odpowiedzi, jak tylko przytoczyć słowa Papy z jednego z jego listów do Cesarzowicza (nb. W. K. Konstantego Pawłowicza):

„Je ne puis admettre aucune possibilité, tant que j'existe, a ce que des idées de reunion de la Lithuanie à la Pologne puissent être encouragées, car, dans ma conviction, c'est une chose infaisable et qui ne pourrait qu'entraîner les suites les plus funestes pour l'Empire. Cela ne m'empêche pas d'être tout aussi bon Polonais que je suis bon Russe; je l'ai prouvé et je le prouverai en toute occasion par la stricte et fidèle observation et garanties des privilèges que feu notre Ange a accordés au Royaume, mais tout tentative au dela, au detriment de l'Empire proprement, et tant que j'existe, je ne puis la souffrir. En consequence je ne puis nourrir aucun espoir pareil, en-

*) Patrz № 47 „Tyg. Polsk.“

core moins l'encourager". A dalej: „L'honnête homme parmi eux même, me rendra justice en disant: Je le hais parce qu'il n'accomplit pas nos vœux, mais je l'estime, parce qu'il ne nous trompe pas.“

Ostatnie te słowa najzupełniej odślaniają szlachetną duszę naszego nieocenionego Papy i śmiem powiedzieć, moje własne myśli, któreś niejednokrotnie słyszał odemnie.

My wiemy, czego chemy, tizeba, żeby i Polacy wiedzieli o tem, jak również o tem, — czego nigdy nie dopuścimy.

Jedynym środkiem osiągnięcia tego jest: stanowczość, sprawiedliwość i systematyczność we wszystkich rządowych zarządzeniach, aby rząd budził do siebie zaufanie, a jednocześnie i strach. Wtedy można mieć nadzieję, że z czasem i za łaską Bożą, zyska ono na zaufaniu wszystkich dobrzemysłujących ludzi, pozostających jeszcze pod grozą stronnictwa rewolucyjnego. Oby Ci Bóg pomógł do osiągnięcia tego rezultatu, bez względu na wszystkie przeszkody i nieprzyjemności, które nas prawdopodobnie spotkają w przyszłości...

Ściskam Cię z głębi mego kochającego Cię serc. Niech Bóg czuwa nad tobą.

Alexander.

—o—

W. Księżę Konstanty do Cara Aleksandra II.
12.24 Września 1862. Łazienki.

Prześliczny list twój, mój nieoceniony Olesiu wręczył mi Sierżputowski w dzień urodzin Niksy gdyście święcili w Nowogrodzie tysiąclecie naszej świętej Matuszki Rossji. Nie mam słów, by ci wyrazić to, com czuł, co się we mnie działo, przy czytaniu twoich przeslicznych zdań.

Jedyną na nie odpowiedzłą może być tylko życie moje poświęcone tobie, memu monarsze i bratu. A wiesz, że w myślach moich i uczuciach jesteś nierozdzielony z Rossją i z pamięcią naszego nieocenionego Papy. Służąc ci do ostatniego tchnienia, do ostatniej kropli krwi, ja służę Ojczyźnie i nie przestaję służyć Papie, Pomnąc na jego ostatnie słowa: *Restez unis!*

...Czytam teraz usilnie, o ile mi czas pozwala, korespondencję Papy z Cesarzewiczem. Jak jasno z niej wyłania się czysta, wielka dusza Papy i jak znamienne są słowa jego o Litwie, któreś przytoczył. Co było prawdą wówczas, pozostaje prawdą i teraz i nie sądzę, by ktokolwiek bądź, mając szczęście urodzić się ruskim, mógł inaczej o tem myśleć. Litwa i wówczas, gdy należała do Polski, była zawsze Litwą, a nie Polską, miała swój zarząd, swoją hierarchją, swój statut litewski (pisany po rusku, a nie po polsku), i bardzo usilnie i zazdrośnie pilnowała swej samoistności. Bezowocna nierozsądna tendencja Polski w twierdzeniu, że Litwa jest Polską. Tego nigdy nie było i nie będzie. Jest ona na zawsze nierozdzielna Rossji częścią.

Tu, w Warszawie, nigdy nie było tak cicho i spokojnie, jak obecnie. Już w ostatnim liście moim pisałem, że historia z Zamoyskim nie przeszkodziła ogólnemu spokojowi. Teraz mogę śmiało nadmienić, iż nietylko nie przeszkodziła, lecz przeciwnie, bardzo pomogła. Wszystko od tego czasu przycichło, bez względu na krzykactwo publicystyki zagranicznej. Przekonano się, że rząd twój silny, stanowczy i legalny. Daj Boże, by tak było nadal i aby rady: Lubelska i Augustowska, teraz odbywające się, przeszły tak pomyślnie, jak

Radomska. Pożądanem byłoby, aby Zamoyski nie zbyt długo pozostawał w Petersburgu i aby jak najspieszniej wysłany był koleją zagranicę, z trzyletnim paszportem, jak to już pisałem we francuskim swoim memorjale. Im dłużej nad tem myślę, tem więcej się przekonuję, że to jedyny środek załatwienia tej sprawy, aby uniknąć zarzutów i skarg na stronność i prześladowanie polityczne.

Położenie Wielopolskiego bardzo trudne. Im stanowczej idzie wskazaną przez ciebie drogą, tem silniej wzmaga się przeciw niemu uprzedzenie i nienawiść. Przytem kanciaste jego maniere, dumny i wyzywający ton z podwładnymi; szkodzą mu wielce. Lecz w jego wieku trudno zmienić charakter i manjery. Jest on nam teraz bardaiej potrzebny niż kiedykolwiek i powinniśmy go osłaniać.

Lecz starając się o utrzymanie go, z jednej strony, staram się zachowanie własnej niezawisłości i patrzę nietylko jego oczami (*ja gładzę nie jedinstwienno jego gładzami*). Jemu się to poniekąd niepodoba. Korzystnie oddziaływa wpływ mojej żonusi, *qui a son franc parler avec lui*, a od której nieraz słyszy takie słowa prawdy, którychby nikomu innemu głosić nie pozwolił.

Poczem raz jeszcze dziękuję Ci i ściskam Cię, drogi mój Olesiu, z całej duszy, równie twoją drogą Marję z dziećmi i waszym siódmym synem, to jest naszym Mikołajkiem.

Twój wierny brat *Koustanty*.

—o—

Car Aleksander II do W. Ks. Konstantego.

15.27 Września 1862, Carskie Sióło.

...Dzięki Bogu, że powierzchowny spokój u was nie był naruszony i po wysłaniu Zamoyskiego, czego się zresztą nie obawiałem, nie nadając osobistości jego tej wagi, jaką nieprzyjazna nam partja u nas i zagraniczne dzienniki usiłują mu nadać. Francuski twój memorjał o nim odczytałem z wielką uwagą i zamierzam tak z nim postąpić, lecz ponieważ zażądane przez ciebie, pismienne jego *dementi categorique* kłamliwych gazetarskich pogłosek, wywołało w nim szczególne rozdrażnienie, więc chciałem go nieco uspokoić i w tych dniach, prawdopodobnie we wtorek sam go przyjmę i osobiście oznajmię mu o wysłaniu go na trzy lata zagranicę.

Po dojrzałym namyśle przeszedłem również do przeświadczenia, że z trzech bied, to jest odsłania go do Warszawy, pozostawienia w Cesarstwie i wysyłki zagranicę, ostatnia najmniej jest kłopotliwa. Przytem obawa konfiskaty jego mienia w Królestwie będzie dla niego hamulcem (*ostrastkoju*)....

Szczerze cię kochający brat

C. d. n.

Alexander.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY.

Nareszcie zrozumiały odpowiednie czynniki, iż obowiązkiem ich jest zająć się opłakanym losem akademika, nareszcie poczęto realizować długą i żmudną akcją młodzieży, zmierzającą do przekonania rządu, iż winien on zająć się tą piekącą sprawą, nareszcie starsze stołeczeństwo weź-

mie udział w koordynowaniu wysiłków w pomocy niezamożnej młodzieży: powstaje *Państwowa Rada do Spraw Pomocy Młodzieży Akademickiej* z p. prezydentem rektorem Nowakiem jako honorowym przewodniczącym na czele, w skład której wejść mają przedstawiciele: M. W. R. i O. P., M. P. O. Sp., Senatów Warszawskich szkół akademickich, Komisji Oświatowej i Finansowo-Budżetowej Sejmu, przedstawiciele organizacji społecznych, oraz Związku Bratnich pomocy Młodzieży Akademickiej,

Zadaniem Rady ma być wyrażanie opinii na wezwanie Rządu w zakresie spraw pomocy państwowej akademikom, oraz stawianie w tych sprawach wniosków z własnej inicjatywy, oraz zespalandanie poszczególnych akcji, mających na celu zaspakajanie potrzeb materialnych młodzieży akademickiej, a mianowicie rozpatrywanie spraw dotyczących się całokształtu pomocy państwowej, społecznej i kulturalnej udzielanej akademikom.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Redaktorze!

W № 46 „Tygodnia Polskiego“ ukazał się artykuł p. Ungra p. t. „Polemika słowacka“. Nie myślę plemizować z tą plemiką. Idzie mi jedynie o wyświetlenie dwóch insynuacji, mających czy-sto osobisty charakter.

P. Unger twierdzi, że „jako członek honorowy husyckiej Kostnickiej Jednoty nie mogę pisać wbrew i przeciw intencjom tego zrzeszenia“.

Otóż istotnie członkiem honorowym Kostnickiej Jednoty jestem i zawdzięczam to p. Ungrowi, a to dla następujących powodów.

W Grudniu roku zeszłego zjawił się u mnie p. A. Szpika, słowak zamieszkały w Warszawie na Marszałkowskiej i tamże posiadający magazyn, i zapytał, czemu ja nie piszę o Słowakach, skoro interesuję się Czechami. Odpowiedziałem, że nie wiem o słowakach, więc nie mogę o nich pisać. Wówczas p. S. dostarczył mi materiałów i ustnych wiadomości, na zasadzie czego napisałem do Kurjera Warszawskiego krótki, spokojny, obiektywny artykuł o Słowacji na jakieś sto wierszy.

W odpowiedzi na ten artykuł p. Ungrowi i jego przyjacielowi p. Johliczce udało się umieścić koło dziesięciu długich napastliwych, niekiedy obelżycznych artykułów w różnych pismach polskich.

Wywołało to w całych Czechach zdziwienie, a Kostnicka Jednota za pośrednictwem p. Adolfa

Czernego przsłała mi artystyczny sztuch Hiewniwa z Pragi, na którym są wypisane słowa uznania, raczej współczucia.

Jakie zaś ma intencje „Kostnicka Jednota“ — nie wiem, a zresztą to mnie nie obchodzi, bo mam zwyczaj pisać to, co myślę i opisywać to, co widzę, nie kierując się niczymi wskazówkami.

Co zaś do drugiej insynuacji, to ani członkiem honorowym, ani korespondentem „Słowenckiej Maticy“ nie jestem, aczkolwiek prawdą jest, iż p. Szpika w imieniu redakcji miesięcznika „Slovenske Pohľady“, wydawanego przez Maticę, zwrócił się do mnie, do p. Radosława Krajewskiego i kilku innych osób z prośbą o artykuły ze sztuki, literatury i życia polskiego, Temu żądaniu oczywiście stało się za dość.

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, wyrazy poważania.

Jerzy Kurnatowski.

O Ś W I A D C Z E N I E .

Proszeni jesteśmy o umieszczenie następującego komunikatu.

Ponieważ kilku byłych członków Związku Samopomocy Szkół Średnich Młodzieży Polskiej (dawniej „Samopomoc“ Z. P. K. M. S.), którzy nie uznali uchwał II Walnego Zjazdu, oraz usiłowali uzurpować sobie władzę, nie przekazując wybranej na Zjeździe Radzie Naczelnej majątku Związku, złożyło na łamach pisma „Młoda Myśl“ oświadczenie, stanowiące dowód, iż podpisani pod nim nie mogą odpowiedzieć na rzeczowe zarzuty im stawiane, starają się o zrzucenie ciężących na nich zarzutów bez powoływania się na jakiegokolwiek dowody, przeto oświadczamy co następuje:

Podpisani pod oświadczeniem, opublikowanym w „Młodej Myśli“ (Nr. 2), nie mogą rzeczywiście prostować „kłamstw i oszczerstw świadomie i podstępnie rzucanych przez pewnych członków Organizacji Polskiej Młodzieży Niezależnej, bądź to na łamach „Naszej Młodej Myśli“, bądź to w postaci specjalnych odezwo, czy wreszcie drogą ustną“, albowiem ani członkowie O.P.M.N., ani „Nasza Młoda Myśl“, ani żadne odezwy takowych nie zawierały, zarzuty zaś w nich wypowiedziane są nadal podtrzymywane.

Podpisy: W. Białowiejski, A. Boniecki, W. Dulinicz, W. Esterson, Imbs, T. Kopeć, Kurnatowski, J. Libert, J. Linke, M. Lewandowski, A. Obariski, K. Pagowski, J. Twarowski, K. Treger, M. Wągrowski, J. Wiśniewski i J. Życki.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi **kwartalnie 2000 mk.**, **miesięcznie 800 mk.** **za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **200 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: cała strona 100.000 mk. 1/2 str. 50.000 mk. 1/4 str. 25000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa, ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.